

9. Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego → ul. Jagiellońska 15

Szyborska studiowała na Uniwersytecie Jagiellońskim, najpierw polonistykę, potem socjologię, studiów jednak nigdy nie ukończyła. W Muzeum UJ można oglądać medal noblowski, który poetka otrzymała w 1996 roku.

10. Mieszkanie → ul. Chocimska 19

W swoim kolejnym mieszkaniu Szyborska zamieszkała w 1982 roku. Na czwartym piętrze gierkowskiego bloku dysponowała już dwoma pokojami i oddzielną kuchnią. To na ten adres przychodziły wiadomości gratulacyjne po przyznaniu poetce Nagrody Nobla w 1996 roku.

11. Mieszkanie → ul. Piastowska 46

W 1997 roku Szyborska przeprowadziła się do mieszkania w bardziej nowoczesnym budynku. Sąsiedzi wspominają, że z wielkim zainteresowaniem obserwowała okoliczną przyrodę.

12. Cmentarz Rakowicki → ul. Rakowicka 26

Wisława Szyborska zmarła 1 lutego 2012 roku. Jej prochy złożono w rodzinnym grobowcu na cmentarzu Rakowickim (kwatery GD, rząd 10, grób numer 10). Poetkę żegnały tłumy wiernych czytelników.

7

Barbara Gawryluk



Nowohuckie podwórka

Miałyśmy przesiadkę na dworcu w Lipsku. Wracałyśmy z wakacji w NRD, cztery licealistki marzące o germanistycznych studiach, kompletnie spłukane po kilku tygodniach wędrówki z plecakami w Harzu, Turynii i Saksonii. W wagonie, do którego próbowaliśmy się dostać, było pełno. Z jednego z przedziałów usłyszałyśmy polskie głosy.

— Skąd jesteście? — padło zwyczajowe pytanie.

— Z Nowej Huty — odpowiedziałyśmy bez zastanowienia. Od razu znalazło się dla nas miejsce, bo w przedziale byli ludzie z naszej dzielnicy. Daleko od domu to wiele znaczyło. Potem Nowej Huty często się wstydyłam, zacierałam ślady, trzeba było lat, żeby zrozumiała, jak wyjątkowe to miejsce, ile znaczyło dla mojej późniejszej drogi, jak wiele nowohuckich przeżyć jest w tym, co piszę dla dzieci. I jak podwórko, na którym się wychowałam, po latach pomogło mi w pierwszych dziennikarskich próbach.

Kiedy pojawia się nostalgia za dzieciństwem? Dlaczego ludzie wracają do swoich pierwszych domów, podwórek, wiosek, miasteczek i szukają — często bez powodzenia — atmosfery, w której wyrastali? Po co to? Nic się nie zgadza, nic nie jest takie samo, czasem nawet nie istnieje ulica rozjechana przez nową autostradę albo kamienica zastąpiona apartamentowcem.

Dla nas, wychowanych w pierwszych latach istnienia Nowej Huty, są i dobre, i złe wiadomości. Dzielnica stoi, stara jej część powoli staje się turystyczną atrakcją. Opowiadają o niej przewodnicy,

powstają książki, filmy, przypominane są dokumenty. Ostatni bohaterowie tych historii mieszkają jeszcze na najstarszych nowohuckich osiedlach. Zakładali rodziny, rodziły się im dzieci. A dzieci czas spędzały na podwórku. Teraz podwórka są puste, a ulubione miejsca też nie takie same.

My, wychowani w Nowej Hucie lat 50. i 60., nie mamy łatwo. Chłuba socjalistycznej ojczyzny, duma PRL-u niejeden raz stawiała się w nowych czasach obiektem ataków. I jak tu wspominać? Jak opowiadać o beztroskim dzieciństwie? O szczęśliwych szkolnych latach? O podwórku będącym centrum wszechświata? O Fidelu Castro, który w zamkniętej limuzynie mignął przed szykującą się cały dzień na powitanie szkołą, a została po nim na lata ulica Rewolucji Kubańskiej? O pochodzie młodości urządzanym na alei Róż, na który poszliśmy całą klasą absurdalnie przebrani za Murzynków, w zielonych spódniczkach z pasków bibuły i twarzach wysmarowanych czekoladą? O lodowisku, każdego roku urządzanym za blokiem przez starszych kolegów, sprawiedliwie rozdzielających czas między nastoletnich hokeistów a maluchy drepzczące na łyżwach przykręcanych do butów na żabki, bo o figurówkach nikt wtedy nie marzył? O fascynujących, kuszących schronach, do których nie wolno było wchodzić, którymi nas straszono, a równocześnie przygotowywano na atak jądrowy?

Nikt nam tego nie zabierze. Byliśmy dziećmi z różnych domów: partyjnych karierowiczów, wypędzonych lwowiaków, ocalałych Żydów, ubogich chłopów przybyłych z drugiego końca Polski, arystokratów ukrywających swoje nazwiska, robotników budujących nową Polskę i radzieckich ekspertów wezwanych do hutniczego kolosa. Ta wybuchowa mieszanina nie pozwalała na nudę.

PODWÓRKO

Nasze było wyjątkowe. Ukryte przed niemrawym w tamtych czasach ulicznym ruchem, z wielką bramą, młodym klonem, zadbanym trawnikiem, z którego przeganiała nas dozorczyń, ławkami, na których toczyło się życie towarzyskie. Janek, Hela, Marysia, Jurek, Kasia, i jeszcze wielu innych — w różnym wieku, z różnych domów, dzieci hutników, robotników, inżynierów, niektórzy kontrolowani z okien przez niepracujące matki, inni puszczani zupełnie luzem. Był trzepak, murek, plac do gry w zbijaka, jeden garaż, a w nim cztery samochody na całe osiedle. Otoczone trzypiętro-

wymi blokami podwórko granoczyło z jednej strony z hotelem. To było miejsce przeznaczone dla zatrudnianych przez kombinat metalurgiczny zagranicznych pracowników.

Zaczęło się od radzieckich ekspertów. Mieszkali na kilku piętrach, w najlepszych lokalach. Klatka schodowa wyłożona była czerwonym chodnikiem, a drzwi pilnował portier. Przeganiał nas nawet z placu przed blokiem, a ciągnęło nas zawsze najbardziej właśnie w tamtą stronę.

Z ekspertami przyjeżdżali rodziny. Nie wszyscy pozwalali dzieciom na zabawy z nami, ale Larisa i Wołodia mieli dużo swobody. Graliśmy w klasy, kopaliśmy piłkę, bawiliśmy się w głuchy telefon i łataliśmy języki na rosyjskich słowach. Udawaliśmy, że mówimy po rosyjsku, naśladując ich śpiewny akcent, nigdy nie było problemu z dogadaniem się. Obowiązywał niepisany kodeks: nigdy nie byliśmy zapraszani do nich do domu. Ale oni wynosili „na ławkę” klejące cukierki i ruskie znaczki na wymianę.

Gożej, kiedy Larisa i Wołodia wyjechali, a na ich miejsce zjawił się Uwe. Nastął czas ekspertów z NRD. Uwe szybko został Kubkiem, a ponieważ my stanowiliśmy większość i to niemiecki okazał się trudniejszy, to Kubek poddany został przez nas szybkiej indoktrynacji i błyskawicznie opanował podstawowe słownictwo. Graliśmy w Wyścig Pokoju, dwa ognie, chowanego. Najczęściej bawiliśmy się w wojnę, Uwe z pokorą wcielał się w rolę Niemca. Jego rodzice chyba nie zdawali sobie sprawy, jak ich syn spędza całe popołudnia.

Następni w hotelu byli Francuzi, potem pojawili się Japończycy, jeszcze później słynni wysocy i przystojni siatkarze Hutnika. Ale my, podwórkowe dzieci, wyrosliśmy, ławka przed blokiem była coraz częściej pusta. Janek trafił do więzienia, Helena gdzieś przepadła, Jurek poszedł do wojska, Marysia urodziła czwórkę dzieci, Kasia wyjechała do Niemiec. Niektórzy z nas dalej się uczyli.

Jak takie podwórko działa na późniejsze życie? Ciągłe szukam odpowiedzi, ale wiem, że wiele moich wyborów, również literackich, ma początek właśnie tam, między nowohuckimi blokami.

KINO

To nasze nazywało się Światowid. Przypuszczam, że istnieje we wspomnieniach wszystkich nowohucian, oprócz tych, dla których ważniejsze było kino Świt. Dla ludzi z zewnątrz, spoza Nowej Huty — nie do rozróżnienia. Również architektonicznie oba budyn-

ki były do siebie podobne. A w środku prawdziwe cuda! Eleganci hol, zawsze kolejka po bilety przed ukrytą w kącie kasą. Duża i mała sala, szerokie schody, pluszowe fotele. To zawsze było święto, nawet jeśli do kina szło się ze szkołą na jakiś nudny, obowiązkowy, bywało że propagandowy film. Ale niedzielne seanse to były prawdziwe filmowe przygody: *Dzieci kapitana Granta*, wszystkie „Fantomasy”, westerny i *Pan Wołodyjowski*. Teraz mówi się „dawne kino Światowid”. I tak spotkał je lepszy los niż kino Świt. Architektoniczne cacko, a dziś przykład smutnego lekceważenia przeszłości, która zaraz stanie się historią.

KLUB

Podwórkowe życie kwitło wiosną, latem i jesienią. W zimie biegaliśmy na sanki za szkołą, uczyliśmy się jeździć na tyżwach za blokiem, ale długie wieczory też były wspólne. Bo mieliśmy klub Wersalik.

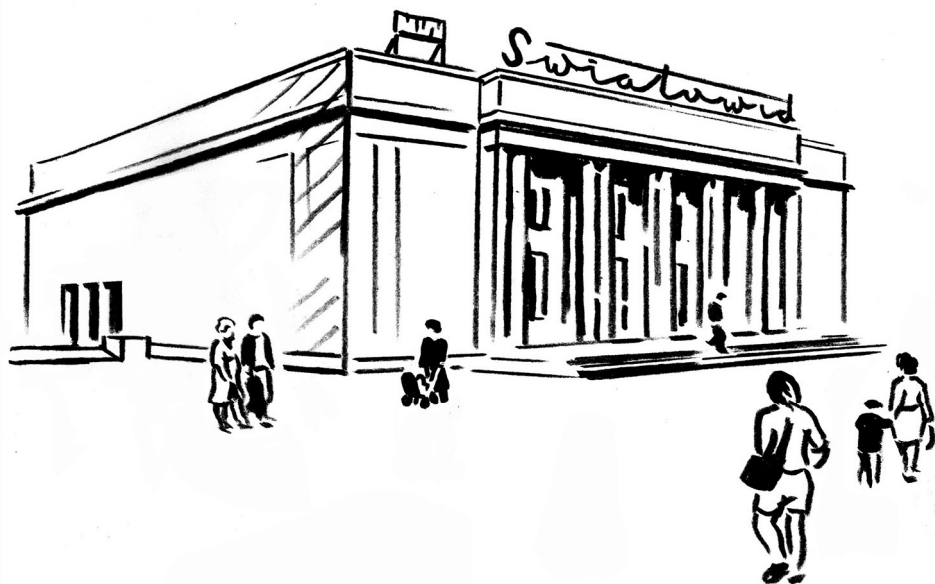
Wiele było złych, strasznych, niebezpiecznych i bezsensownych pomysłów w PRL-u. Ale zdarzały się wyjątki. Jednym z nich był Wersalik. Nie mam pojęcia, kto za to płacił. Ale ktoś dobrze wymyślił miejsce, w którym dorośli mogli grać w szachy, karty, bilard, oglądać telewizję, a dzieci bezpiecznie spędzać czas. W Wersaliku nauczyłam się rysować. Co prawda, żeby dotrzeć na kółko plastyczne na tyłach klubu, trzeba było przejść przez wielką, zadymioną salę — ale przecież paliło się wtedy wszędzie. Dostawaliśmy papier, farby, kredki, plastelinę, była pani, która podpowiadała, naprowadzała, tłumaczyła, oceniała, robiła wystawy i konkursy. Niby nic, ale wiele z dzieci spędzających tam czas takiego spokoju i takiej opieki na pewno nie miało w domach.

Skąd wziął się pomysł na teatr? Na spektakl dla mieszkańców osiedla? Kto to zorganizował? Nic nie pamiętam. Ale przygoda była potężna. Wystawiliśmy *Księżniczkę na ziarnku grochu*. Po miesiącach przygotowań i prób, przed rodzicami i sąsiadami wystąpiło całe podwórkowe towarzystwo. Brakowało chłopaków, więc niektóre męskie role obsadzono dziewczynami. Byłam królem z czarnymi wąsami, ale znałam na pamięć wszystkie role, mogłam więc pełnić rolę suflera dla całej obsady. Syn dozorkyni, chudy Włodek, był halabardnikiem, mały Jasiu, najgorszy uczeń w klasie, rewelacyjnie zagrał pazia, piękna Beata o egzotycznej urodzie, córka dentysty, była królową, a zabiedzona Hela z drugiego piętra — księżniczką. Mieliśmy fantastyczne stroje, mój królewski czer-

KRAKÓW MIASTEM CZYTELNIKÓW

Kraków to miasto czytelników, którzy nieustannie rozwijają swoje kompetencje literackie. Dotyczy to nie tylko studentów kierunków filologicznych na Uniwersytecie Jagiellońskim i Uniwersytecie Pedagogicznym. W ramach organizowanej przez Fundację Tygodnika Powszechnego ogólnopolskiej akcji społecznej „Lekcje czytania” licealiści uczą się od krytyków i pisarzy, jak rozmawiać o literaturze. Natomiast w ramach inicjatywy Dyskusyjnych Klubów Czytelniczych, organizowanych przez fundację Poemat, w krakowskich księgarniach prowadzone są tematyczne cykle spotkań poświęcone różnym gatunkom literackim. Przez cały rok w Mieście Literatury UNESCO odbywają się festiwale (na czele z Festiwalem Conrada, Festiwalem Miłosza, Festiwalem Literatury dla Dzieci, Festiwalem Komiksu i Festiwalem Non-fiction) oraz niezliczone spotkania autorskie, podczas których czytelnicy mogą na żywo spotkać się i porozmawiać z twórcami ulubionych książek. Nie bez znaczenia pozostają aktywności kulturalne w krakowskich księgarniach, od 2016 roku objęte programem wsparcia finansowego ze strony miasta. Każdego roku w kilkunastu krakowskich księgarniach organizujących wydarzenia kulturalne odbywa się ponad 300 spotkań, debat i dyskusji, słamów poetyckich, warsztatów, kameralnych koncertów i projekcji filmowych. ●





wony płaszcz uszyła sąsiadka, ale skąd się wzięły błyszczące suknie, korony i welony?

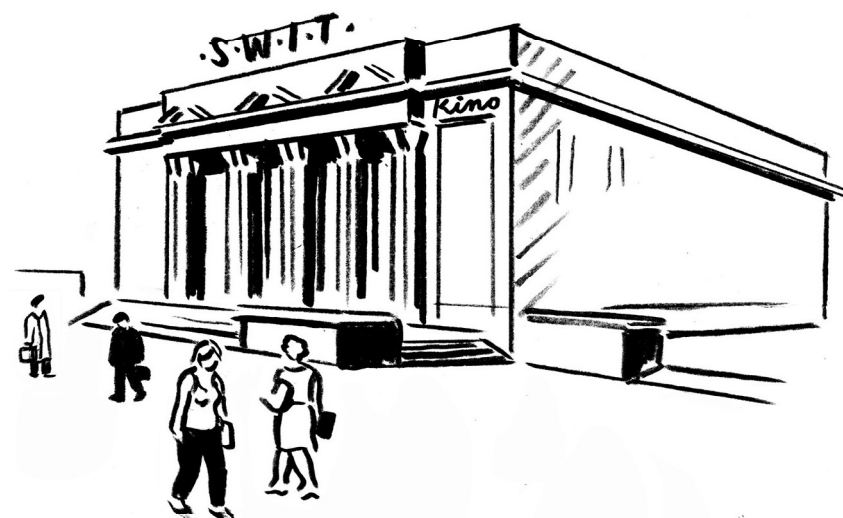
Przedstawienie było sukcesem. Wystawiliśmy je raz, przy pełnej sali. Potem zaczęliśmy próby do następnego, ale syn dozorczy ni dostał zakaz, bo musiał mamie pomagać sprzątać klatki schodowe, Jasiowi tata nie pozwolił przychodzić na próby, bo znowu miał na okres dwóję z matematyki, a Beata przeprowadziła się na Śląsk. Ale w niektórych z nas miłość do teatru została obudzona i została na całe życie.

SZKOŁA I ŁĄKI NOWOHUCKIE

— Będiesz się w szkole nudzić — mówili dorośli. — Przecież umiesz już i czytać, i pisać, i liczyć.

Mało tego, nawet znałam rosyjskie bukiwy, bo bardzo mnie pociągał ten dziwny alfabet. Tata poliglota opędał się od mojej ciekawości, ale nie wiadomo kiedy i jak tę sztukę również opanowałam. Larisa i Wołodia już wyjechali, a we mnie pozostała nostalgia do ich śpiewnego języka.

Nigdy nie nudziłam się w szkole. Do naszej liczącej blisko czterdzieścioro uczniów klasy chodziły dzieci z kilku osiedli. Najważniejszy był podział na Ogrodowe i Na Skarpie. Tych drugich było więcej: nie mieliśmy szans ani na boisku, ani na szkolnym koryta-



rze. Do tego jeszcze doszła grupa z Centrum A, a wśród nich Maria i Piotr o egzotycznych nazwiskach. Byli dziećmi greckich imigrantów, którzy w latach 50. znaleźli azyl w Nowej Hucie. Nie mieliśmy pojęcia, dlaczego mają takie dziwne nazwiska i skąd się wzięli, to było zupełnie naturalne. Wszyscy zaczęliśmy naukę w pierwszej klasie. W szkole była też duża grupa dzieci cygańskich, ich rodziny zostały zmuszone do osiedlenia się na stałe — Nowa Huta stała się miejscem socjologicznego eksperymentu. Z ich nauką i frekwencją różnie bywało, ale jeden z moich cygańskich szkolnych kolegów zrobił potem karierę w znanej grupie muzycznej. A ja już w pierwszej klasie nauczyłam się liczyć po romsku.

Największą atrakcją byli cyrkowcy. Na nowohuckich łąkach, za szkołą, każdego roku na wiosnę rozkładał się cyrk. To były czasy, kiedy cyrkowy namiot stał w tym miejscu nawet kilka tygodni. Dzieci cyrkowych artystów trafiały do naszej szkoły. Nie mieliśmy pojęcia ani skąd są, ani w jakim języku mówią. Każdego roku w lekcjach brał udział ktoś inny. Porozumiewaliśmy się jakąś dziwną mieszkanką słów, a najważniejsze dla nas było, jak dostać się do cyrku od zaplecza i co można zobaczyć bez biletu.

Kilka razy się udało, tak odwiedziłam kiedyś słonie i na zawsze zapamiętałam smród z ich wybiegu oraz bardzo nieprzyjemnego, grubego mężczyznę, który poszturchiwał nieszczęsne zwie-

rzęta długim kijem. Udało mi się też wejść do cyrkowego wozu, w którym mieszkała dziewczynka z mamą i jej stadem małych pieszków. Wcale mi się nie podobała ciasnota w ich wędrownym mieszkaniu, a najbardziej żał mi było psów. Pamiętam też cichego, skromnego, szczuplutkiego chłopca — mówiliśmy do niego Niko. Dostawiliśmy dla niego specjalnie ławkę na samym przodzie klasy, zaraz przy biurku pani. Jego rodzice byli akrobatami. Cała nasza klasa dostała bilety do cyrku i wtedy okazało się, że Niko znalazł się na samym szczycie piramidy zbudowanej przez jego liczną rodzinę.

W klasie na początku siedzieliśmy po troje w ławce. Dzieci lekarzy i inżynierów razem z dziećmi hutników i budowlańców. W pierwszej ławce Bogusia, której pięciu braci co chwilę na zmianę trafiało do więzienia. Przy drzwiach wyrośnięty Alek, któremu nie szło w szkole, miał kłopoty z mówieniem, każdą klasę powtarzał po dwa razy, ale rysował najpiękniejsze portrety. Ustawialiśmy się po nie na przerwach w kolejce.

W pierwszej klasie na wiosnę założyliśmy przy szkole warzywnik. Sami sialiśmy sałatkę, rzodkiewkę, cebulę. Mieliśmy dyżury przy plewieniu i wypatrywaliśmy z niecierpliwością efektów naszej pracy. Pierwsze rzodkiewki schrupaliśmy na jednej z ostatnich lekcji przed wakacjami.

A kiedy nasza pani już nie mogła z nami wytrzymać, zabierała nas na łąki. Niesamowite, niezwykle, wyjątkowe miejsce, które od tamtych lat jako jedno z niewielu prawie w ogóle się nie zmieniło. Goniliśmy tam jak szaleni, bawiliśmy się w berka i podchody, graliśmy w piłkę, a w zimie jeździliśmy na sankach. Z wysokiej skarpy prowadziły w dół tory o różnym stopniu trudności. Z jednej z takich niedzielnych wypraw na sanki wróciliśmy z tatą do domu tylko ze sznurkiem, sanki rozpadły się na niebezpiecznej muldzie. To z łąk przynosiłam do domu najpiękniejsze bukiety, to na łąki chodziłam na długie spacerzy z moim pierwszym psem, foksterierem Kibicem, który swoje imię wziął z powieści Kornela Makuszyńskiego, to na łąki wybierałam się na pierwsze randki. łąki pachniały, były namiastką wsi, filtrowały nasze zanieczyszczone przez hutę płuca. Śledziliśmy przepiórki, odnajdywaliśmy ptasie gniazda, łapaliśmy żaby i kijanki. Istniała granica, do której nie wolno było dochodzić, dalej zaczynały się mokradła i woda mogła „wciągnąć”. Nad zieloną równiną górowała tajemnicza wieża spadochronowa. Podobno ktoś się z niej rzucił i popełnił samo-

PRZEKŁADY LITERACKIE

Przekłady stanowią jeden z najważniejszych elementów krajobrazu literackiego nie tylko Krakowa, ale i całej Polski. Aktywną działalność w dziedzinie tłumaczeń literackich prowadzi Instytut Książki, organizując specjalne programy stypendialne dla tłumaczy. Z inicjatywy Instytutu Książki tłumacze literatury polskiej spotykają się co cztery lata w Krakowie na światowym kongresie, którego gośćmi są też polscy pisarze, poeci, krytycy i historycy literatury. Instytut przyznaje również nagrody: Transatlantyk dla ambasadorów literatury polskiej za granicą oraz Found in Translation Award dla autora najlepszego przekładu literatury polskiej na język angielski. Inicjatywy translatorskie podejmuje także Stowarzyszenie Willa Decjusza poprzez stypendia twórcze dla tłumaczy, program Wyszehradzkie Rezydencje Literackie dla ludzi pióra i trójjęzyczne czasopismo „Radar”. Kształceniem tłumaczy zajmuje się Uniwersytet Jagielloński, w szczególności Katedra do Badań nad Przekładem i Komunikacją Międzykulturową. Działalność tłumaczeniową wspierają także instytucje międzynarodowe: Instytut Goethego, Austriackie Forum Kultury, Instytuty Cervantesa, Francuski, Włoski i inne. ●



bójstwo. Krążyły też opowieści o wampirach, zboczeńcach i mordcach. Wieczorami na łąki się nie chodziło.

PLAC CENTRALNY

Na plac Centralny wybieraliśmy się tak, jak inni krakowianie na Rynek Główny. To tam były najlepsze sklepy. Tam robiło się luksusowe zakupy. Stamtąd ruszało się „do Krakowa” czwórką albo autobusem pospiesznym A. I było kilka punktów najważniejszych, w każdej z czterech części placu.

Markiza, Centrum A — pachnący czekoladą, najlepszy sklep cukierniczy w całej Nowej Hucie. Elegancki, z dębowymi meblami i szklanymi witrynami, trochę onieśmielający. Po zwykłe lądry czy irysy biegano się do osiedlowego spożywczego, do Markizy szło się po coś specjalnego: czekoladę z orzechami, pralinki na wagę, kremówki czy eklery. Charakterystyczny neon Markizy, prawdziwe dzieło sztuki, był najjaśniejszym punktem placu Centralnego. Po latach wrócił na swoje miejsce, chociaż nie zawsze świeci. Cukierni od dawna nie ma.

Cepelia, Centrum B — jest! Chyba ostatni adres, który się utrzymał. Pogardzaliśmy sztuką ludową, nie zaglądaliśmy zbyt często do Cepelii. Ale to właśnie tam zaspokajaliśmy kolejne mody: na kierpce i parzenice, na czerwone korale, na kwieciste chusty. I unosiliśmy w górę głowy. Tylko tam był taki sufit. Wtedy z kasetonami niczym na zamku wawelskim, dzisiaj z ozdobnymi plafonami.

Księgarnia, Centrum C — już jej nie ma. Wydawało się, że przetrwa, że nic jej nie zmiecie. Pierwsze ważne książki wystane w kolejkach na majowych kiermaszach, pierwsze autografy i dedykacje od ukochanych autorów, pierwsze spotkania z ilustratorami. Dla mojej mamy to było wydarzenie, zaraziła mnie miłością do książek. Elegancko ubrane na przedpołudniowy spacer, celebrowaliśmy majowe święto książki urządzone na chodniku przed księgarnią, wypatrując nowych tytułów. Gdyby nie radość z trzynomowego *Winnetou* albo podpisu Ludwika Jerzego Kerna na *Ferdynandzie Wspaniałym*, gdyby nie dreptanie z niecierpliwością i niepewnością (czy nie zabraknie) w kolejce po *Baśnie* Andersena z ilustracjami Szancera, to może nie byłoby moich historii o Dżoku, Baltiku albo Gwizdku?

Sklep filatelistyczny, Centrum D — to tata zbierał znaczki. Był doświadczonym, wytrawnym filatelistą. Kolekcjonował tylko

znaczki polskie, jego zbiory mieściły się w kilkunastu grubych klaserach. Co jakiś czas zabierał mnie do jedyne w dzielnicy sklepu filatelistycznego, bo tam czekała na niego kolejna seria, musiał mieć jakiś abonament czy prenumeratę. Kupował nowe znaczki w niewielkich kopertach, a ja w tym czasie oglądałam te inne, egzotyczne, prezentowane w szklanych gablotach. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego nie chciał zbierać znaczków z Niemiec, Związku Radzieckiego czy USA, a to takie liczyły się w klaserach moich kolegów z podwórka. Po powrocie do domu tata wyjmował klaser i delikatnie, pęsetą wkładał do niego nową serię. Dopiero wtedy mogłam zobaczyć, co tym razem znalazło się na znaczkach. Nigdy nie zapomnę serii z bajkami, z psami, kwiatami, żaglowcami czy polskimi olimpijczykami z 1964 roku. Sklepu filatelistycznego pod tym adresem już nie ma. Układ witryn na placu Centralnym pozostał tylko w pamięci dawnych mieszkańców.

MOGIŁA

Nie rozumieliśmy, że ta wioska, którą mijamy, biegnąc na lekcje religii, to skrawek tego, co było tu przed nami. O tym nie uczono nas w szkole. Nie opowiadano o miejscach, które musiały zniknąć, o ludziach, którzy stracili swoje domy, o polach, które zabudowano naszymi blokami, o ogrodach i sadach, których resztki znajdowaliśmy na podwórkach. Czereśnie ciągle jeszcze były słodkie, a jabłonie rodziły rumiane owoce. Naturalna była granica, za którą zaczynała się wieś i wąska droga prowadząca do klasztoru. Po obu stronach ulicy Klasztornej małe domki, właściwie chałupy, słomiane strzechy, niebieskie ściany, pelargonie w oknach, malwy w ogrodach. Z każdym rokiem było ich coraz mniej, chociaż na szczęście nie wyrosły tam bloki.

Nie wiedzieliśmy, że kościół, do którego prowadzą nas rodzice, jest unikatowym zabytkiem. Biegaliśmy po klasztornym podwórku, zaglądaliśmy do krużganków, czasem przemykaliśmy na drugą stronę ulicy do drewnianego kościółka, zwykle zamkniętego, otoczonego tajemniczym, cichym parkiem. Nie starczało nam wyobraźni, żeby zrozumieć, na jakim terenie jesteśmy. W ciągu pięciu minut od domu przenosiliśmy się do zupełnie innej historii, do resztki nieistniejącego już świata. Ta uliczka jak wyrzut sumienia została po dawnych gospodarzach. Tak samo jak cmentarz, wokół którego wybudowano pierwsze osiedle, pierwszą pocztę, pierwszy



Do markizy chodziło się
po coś specjalnego.

plac targowy. Na cmentarzu odkrywaliśmy groby ze starymi datami, omszałe krzyże, nagrobki z nieczytelnymi napisami. Wymyślaliśmy o nich straszne opowieści, tymczasem prawdziwe historie były przed nami ukrywane. Mały wiejski cmentarzyk musiał wpasować się w nowoczesne miasto. Jeszcze jeden wyrzut sumienia.

Oprawdam po Nowej Hucie znajomych Szwedów. Zaglądamy do podwórek, spacerujemy aleją Róż, idziemy wzdłuż „szwedzkiego bloku”, zatrzymujemy się na placu Centralnym.

— Jakie było twoje dzieciństwo? — pytają.

— Na pewno nie nudne. ●

FESTIWAL LITERATURY DLA DZIECI

Kraków jest jednym z pięciu miast — obok Warszawy, Gdańska, Poznania i Wrocławia — w których od 2014 roku realizowany jest Festiwal Literatury dla Dzieci, największe tego typu wydarzenie w Europie. Od 2017 roku w Krakowie odbywają się najważniejsze wydarzenia festiwalu i to tutaj przyznawana jest Nagroda im. Ferdynanda Wspaniałego dla najlepszej polskiej książki dla dzieci, której fundatorem jest Kraków Miasto Literatury UNESCO.

Festiwal gości wybitnych polskich i zagranicznych autorów i ilustratorów książek, a także prezentuje najmłodszym czytelnikom literaturę jako źródło innych rodzajów twórczości poprzez liczne wystawy, koncerty i spektakle teatralne. Ambicją twórców festiwalu jest pokazywanie literatury jako żywego źródła wiedzy o świecie, dlatego poszczególne wydarzenia odbywają się często w bardzo nietypowych miejscach, nawiązujących do treści książek. Gośćmi „Czytanek przed zachodem słońca”, poza pisarzami, są również aktorzy, sportowcy i ludzie o tak nietypowych zawodach jak pszczelarz czy witrażysta. W ramach festiwalu organizowane są też konferencje i szkolenia dla nauczycieli i bibliotekarzy na co dzień pracujących z dziećmi. Goście festiwalu, poza głównym pasmem programu, docierają do dzieci także w innych miejscach — w szkołach, bibliotekach czy szpitalach.

www.flidd.pl



KSIEGARNIA. CENTRUM C.
CZY NIE ZABRAKNIE »Baśni« Andersena
Z ILUSTRACJAMI Szancera?



BARBARA GAWRYLUK (UR. 1957)

tłumaczka i dziennikarka radiowa. W Radiu Kraków prowadzi program o literaturze dla dzieci „Alfabet”. Książka *Dżok. Legenda o psiej wierności* została wpisana na Złotą Listę Fundacji ABC, a *Zuzanka z pistacjowego domu* otrzymała Nagrodę Literacką im. Kornela Makuszyńskiego. Biografia *Wanda Chotomska. Nie mam nic do ukrycia* w grudniu 2016 została Krakowską Książką Miesiąca.



WYDARZENIA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Wydarzenia literackie i artystyczne dla dzieci i młodzieży to nie tylko jednorazowe akcje czy spotkania, ale regularna całoroczna praca, której celem jest kształtowanie postaw młodego czytelnika i tworzenie czytanego, wykształconego kulturalnie społeczeństwa. Program edukacji kulturalnej dzieci i młodzieży w Krakowie obejmuje m.in. Festiwal Literatury dla Dzieci (pierwszy taki festiwal w Polsce, przyciągający co roku tysiące uczestników), pasma dla dzieci w ramach Festiwalu Conrada i Festiwalu Miłosa, spotkania z autorami, ilustratorami i grafikami, warsztaty literacko-plastyczne i rodzinne spacer literackie. To w Krakowie jest również przyznawana Nagroda im. Ferdynanda Wspaniałego dla najlepszej polskiej książki dla dzieci. ●

